



MARIUS
GABRIEL

Projektant

Marzenia da się zaprojektować.

Reszta wydarzy się sama



MARIUS GABRIEL

Projektant

Marzenia da się zaprojektować.
Reszta wydarzy się sama.

PRZEŁOŻYŁA

Agnieszka Patrycja Wyszogrodzka-Gaik



TYTUŁ ORYGINAŁU:

The Designer

Redaktor prowadząca: Ewelina Sokalska

Redakcja: Justyna Yiğitler

Korekta: Ewa Popielarz

Projekt okładki: Mariusz Banachowicz

Zdjęcie na okładce: © Kiselev Andrey Valerevich (Shutterstock.com)

DTP: Maciej Grycz

Copyright © 2017 by Marius Gabriel

This edition is made possible under a license arrangement originating
with Amazon Publishing, www.apub.com

Copyright © 2018 for the Polish edition by Wydawnictwo KobiECE Łukasz Kierus
Copyright © for the Polish translation by Agnieszka Patrycja Wyszogrodzka-Gaik, 2018

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone. Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiegokolwiek techniki całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2018

ISBN 978-83-66074-98-9



Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:
www.facebook.com/kobiece



WYDAWNICTWO
KOBIECE

www.wydawnictwokobiece.pl

Wydawnictwo KobiECE

E-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

Pełna oferta wydawnictwa jest dostępna na stronie

www.wydawnictwokobiece.pl

DLA MERVAT





Rozdział 1

Copper była mężatką od zaledwie osiemnastu miesięcy i nie uważała się za znawczynię relacji małżeńskich. Niemniej lubiła myśleć, że umie stwierdzić, kiedy związek przeżywa kryzys. I miała pewność, że jej małżeństwo właśnie go przechodzi.

Słuchała, jak jej mąż przeprowadza wywiad z francuskim partyzantem, i rozmyślała o poradach z czasopism kobiecych, które – jako że nie miała matki ani przyjaciółek – stanowiły jej główne źródło wiedzy. Nie „zrzędziła”, nie „dawała się we znaki” ani nie „narzekała”. I na pewno „nie żądała ciągle nowych sukienek”, a mimo to udawało się jej unikać „flejtuchowatego i zaniedbanego wyglądu”. Robiła, co mogła, by nie przyrządzać „potraw nieapetycznych”, nie serwować ich „na brudnej zastawie i poplamionym obrusie”, choć ogarnięty wojną Paryż narzucał ograniczenia.

I mimo że wystrzegą się tych wszystkich grzechów, jej mąż wciąż podziewał się nie wiadomo gdzie do drugiej w nocy,

miewał na kołnierzyku koszuli mundurowej ślady szminki, a ją samą zaczął traktować, jakby była meblem.

– Jest coś do jedzenia? – spytał Amory Heathcote i rzucił jej zabazgraną kartkę.

Jako jego asystentka miała przepisywać na maszynie sporządzane skrótami notatki, żeby można je było wysłać do agencji informacyjnej w Stanach Zjednoczonych. Jako żona zaś zapewniała mu przenośne gospodarstwo domowe i wygody, zaspokajała potrzeby Amory'ego i chroniła go przed życiowymi trudnościami, na ile tylko się dało.

– Mamy wino, chleb i ser.

Mąż wyglądał na niezadowolonego.

– I nic więcej?

– Zapytam gospodynię.

Mieszkańcy świeżo wyzwolonego Paryża okazywali Amerykanom wzruszającą szczodrość, jednak Francuzi przymierali głodem, więc nie było łatwo znaleźć prowiant.

Copper poszła poszukać gospodyni i wróciła z darem w postaci połówki kiełbasy i czterech jajek na twardo. Amory i François Giroux palili papierosy na malutkim tarasie z widokiem na rue de Rivoli, ulicę noszącą ślady walk toczonych w ramach paryskiego powstania. Przyglądali się czterem amerykańskim żołnierzom patrolującym ulicę i flirtującym z francuskimi dziewczętami, których śmiech odbijał się echem od budynków.

– Wiecie, jak nazywamy waszych żołnierzy? – odezwał się Giroux. – Żołnierzami od gumy do żucia.

– Nie brzmi to zbyt wdzięcznie – zauważyła Copper.

Giroux patrzył na scenkę z wyrazem niezadowolenia na twarzy.

– Przechadzają się zawadiackim krokiem po Paryżu i rozdają batoniki. A my nie jesteśmy dziećmi.

– Starają się być mili.

– Jestem Francuzem i komunistą, *madame*. I nie chcę być pod niczym butem, ani niemieckim, ani amerykańskim.

– Zastanawiam się, czy kiedykolwiek nam wybaczyście, że was wyzwoliliśmy... – odparła Copper.

Francuska дума po latach upokorzeń i niedoli nazistowskiej okupacji przypominała jeża: kłuła na zewnątrz, pozostając wrażliwa w środku.

– Nasze ulice zalewała polowa szarość, a teraz zalewa ją barwa khaki.

Giroux raczył ich od godziny opowieściami – bardziej i mniej wzniosłymi – o bohaterskiej roli, jaką odegrał w wyzwoleniu Paryża. Wyczuwszy, że ich zainteresowanie nim słabnie, powiedział:

– A może chcieliby państwo zobaczyć coś niezwykłego dzisiaj po południu?

– W jakim sensie niezwykłego? – spytał Amory.

Giroux zdusił w palcach camela.

– Kolaboranci myślą, że zdołają się przed nami ukryć, ale my wiemy, gdzie oni są. Znajdujemy zdrajców jednego za drugim i wymierzamy sprawiedliwość.

– *Épuration sauvage*?

– Tak to nazywamy. Dzisiaj kogoś ukarzymy.

Amory nadstawił uszu.

– Jasne – rzucił. – Chętnie zobaczę. Poczekamy na Fritchleya-Bounda. Też będzie chciał pójść. Gdzie on się podziewa?

– zwrócił się do Copper.

– A jak myślisz?

Wraz z wyzwoleniem miasta spod panowania Niemców rozpoczęło się wielkie świętowanie, a George Fritchley-Bound, zwany też Straszny Drai^{*}, nie potrafił się nigdy oprzeć libacji. Poznali tego brytyjskiego dziennikarza kilka tygodni wcześniej. Absolwent Eton był w zasadzie nieustannie pijany, ale polubili go.

Straszny Drań nie pojawił się, zanim zasiedli do posiłku, więc zaczęli jeść bez niego. Chleb okazał się twardszy od kiełbasy, a wino jeszcze mniej strawne, ale wszyscy byli głodni.

– Kim jest zdrajca? – spytał Giroux Amory.

Giroux piłował kiełbasę swoim scyzorykiem.

– Kimś, kto bardzo skrzywdził Francję – odpowiedział ponuro. – Sami zobaczycie.

– Zabiją go?

– Może.

Copper się skrzywiła. Widzieli już tak wiele horrorów będących pokłosiem inwazji aliantów – w stronę Berlina przetaczała się przez Europę wielka fala ludzi i maszynierii. Paryż wciąż chwiał się po jej przejściu.

Amory wydawał się nieporuszony widokiem potwornie okaleczonych i zabitych. Był przecież korespondentem wojennym przywykłym do takich rzeczy. A ona, chociaż go kochała, uważała go za najbardziej oziębłego ze znanych sobie ludzi.



* Nawiązanie do nazwiska; „straszny drań” po angielsku to *frightful bounder* (wszystkie przypisy pochodzą od tłumaczki).

Straszny Drań pojawił się pięć minut później. Pojawił się w zasadzie ciałem, nie duchem, bo przyniosło go zalanego w trupa dwóch amerykańskich żołnierzy.

– Miły gość, jak na Angola – wysapał jeden z nich (Fritchley-Bound był postawnym mężczyzną, a do mieszkania prowadziło kilka kondygnacji schodów). – Nie wie jednak, kiedy przestać. Gdzie go położyć?

Przejęli Anglika od jego towarzyszy i rzucili na łóżko. Kierując się wcześniejszymi doświadczeniami, Copper położyła go na boku i postawiła nocnik w zasięgu jego ręki.

Fritchley-Bound nieoczekiwanie otworzył oczy i popatrzył na nich.

– Czy się skompromitowałem?

– Nie bardziej niż zwykle – odparł Amory. – Ale stracisz okazję. Giroux pokaże nam, jak ruch oporu wymierza sprawiedliwość.

– Cholera. Coś w sam raz dla brukowca. – Próbował usiąść, ale przycisnął dłonie do klatki piersiowej. Jego twarz, karmazynowa maska, pobieliała. Musieli go przytrzymać, żeby nie zsunął się na podłogę. Popatrzył błagalnie na Copper. – Copper, staruszek...

– Nie, George. Nie chcę oglądać niczyjej śmierci.

– Proszę, zrób to dla mnie.

– Nie.

– Zrewanżuję się. Artykuł na dwie strony. Szczęśliwy naczelny. Uratowana kariera. – Chwycił ją za ramię. – Aparat wisi w szafie. Powinno być jeszcze kilka wolnych klatek.

– Niech cię diabli, George – powiedziała ze złością. – Nie możesz tak robić.

Machnął wielką bezwładną ręką – nie umiała stwierdzić, czy przyznając jej rację, czy może zbywając jej protest – i opadł na łóżko. Jego twarz wyglądała, jakby nie żył.

Amory popatrzył na nią pytająco.

– Ostatnie życzenie konającego. Czy zamierzasz mu odmówić?

– Z największą ochotą. – Copper podeszła do szafy. – Nie załaduję drugiego filmu. Jeżeli ten jest zużyty, sprawa przesądzona. – Spojrzała na tył zniszczonego rolleiflexa (jak na ironię Fritchley-Bound upierał się, żeby używać swojego przedwojennego niemieckiego aparatu). Zostało pół tuzina klatek. – A niech to!

– Jeśli chcesz, możesz zostać w domu – powiedział Amory. Fritchley-Bound ocknął się z chrapnięciem.

– Nie rób tego. Dzielna dziewczynka. Uratujesz Straszne-go Drania. Będę ci dozgonnie wdzięczny.

– Który to już raz? – zapytała i zarzuciła pasek od aparatu na ramię. – Wykorzystujecie mnie. Mam tego dość. Chodźcie. Idziemy.



Nie potrafiła już zliczyć przypadków, kiedy zastępowała Fritchleya-Bounda, bo był zbyt pijany, żeby pracować. Robiła za niego zdjęcia, a nawet pisała artykuły. On tylko nanosił kilka poprawek trzęsącym się ołówkiem i wysyłał jej pracę jako swoją. W zamian nie dostawała nic oprócz wdzięczności „autora” i świadomości, że ratuje jego karierę zawodową. Ta sprawa była jak tykająca bomba. Pewnego dnia gazeta Fritchleya-Bounda się na nim pozna.



WYDAWNICTWO
KOBIECE

Spodobał Ci się fragment tej książki?

Zamów ją w naszej księgarni

www.WYDAWNICTWOKOBIECE.pl

Bądź na bieżąco i śledź nasze wydawnictwo na Facebooku:

 www.facebook.com/kobiece



ul. Andersa 40A

15-113 Białystok

e-mail: redakcja@wydawnictwokobiece.pl

tel. 731-019-059